



## Teresa Krzyżanowska

## część IV z IV

Sygnatura notacji: **N0619**

Data urodzenia: **24.01.1932 r.**

Data nagrania: **21.05.2024 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sudół**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 57 min, część III: 60 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 42 min.**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Teresa Krzyżanowska:** Jak miałam 8 lat, zaczęłam się uczyć muzyki. Miałam szczęście, że trafiłam od razu do pani profesor Kazuro. Jako że wyższe uczelnie Niemcy pozamykali, konserwatorium też było zamknięte, a profesorowie z konserwatorium wynajęli taki duży lokal w domu między ulicą Marszałkowską, Sienkiewicza, kwartał ulic cały był, ogromny dom. I tam wynajęli mieszkanie dziewięciopokojowe i tam były klasy i uczyli profesorowie konserwatorium, uczyli nawet takich smarkaczy jak ja. Więc miałam szczęście, że trafiłam od razu do bardzo dobrej pani profesor Kazuro. Przychodziłam właśnie do tego lokalu, tam była nauka, a w niedziele robili koncerty uczniów, różnego szczebla, więc tacy mali uczniowie jak ja mieli swoje występy. Uczniowie na poziomie średnim i wyższym też mieli występy. To było zakazane zawsze po występach takich, profesor Kazuro prosił, żeby wychodzić nie gremialnie, cały tłumek, który był na tym koncercie, tylko że tam ten dom miał kilka klatek schodowych, żeby różnymi wyjściami wychodzić, po dwie, po trzy osoby, żeby Niemcy nie widzieli, prawda, nie zwrócili uwagi na to, że tam było takie właśnie tajne nauczanie. No i trafiły..., ponieważ zupełnie przypadkowo trafiłyśmy do konserwatorium, do państwa Kazurów. Byłyśmy jeden dzień, elektrownia na drugi dzień padła. Wszyscy z elektrowni przyszli do konserwatorium. Ojciec przyszedł, prowadząc kierowcę, z którym zawsze jeździł, to był pan Antek Górecki, chyba Górecki się nazywał. On był ranny, oko miał przesłonięte. Ojciec go prowadził. Przeżyliśmy noc. Coraz goręcej było. No bo Niemcy wiedzieli, że tam całe dowództwo „Parasola” mieściło się w tym momencie w konserwatorium. No straszne bombardowanie było. Pamiętam Basia, późniejsza Hesse-Bukowska, laureatka Konkursu Chopinowskiego, chyba z 1950 r. pierwszy co był po wojnie. Jedną z nagród dostała, nie pierwszą, ale dosyć dużą nagrodę. No i tak siedziałyśmy z tą Basią Hesse przy oknie, a ona mówi: „Patrz, palił się dom Kuczyka”. Kuczyk to był taki bardzo zdolny uczeń pani Kazuro. Chłopak dwumetrowy, wspaniały pianista. Mieszkał na Powiślu i ona widziała z okna, wiedziała gdzie

mieszka, w którym domu. Mówi: „Popatrz pali się teraz dom Kuczyka”. No a ten Kuczyk, taki Józik Kuczyk, który no... Bardzo zdolny i mógł zrobić karierę pianistyczną, po powstaniu dostał się do Belgii. W Belgii skończył konserwatorium z najwyższym odznaczeniem. Wrócił do Warszawy i wpadł pod pociąg. Tak się skończyło życie. No ale przeżyliśmy tę noc. Następną właśnie, już elektrownia przysłała. Drugi dzień byliśmy w konserwatorium. Chcieliśmy przejść, po prostu było strasznie niebezpiecznie. Niemcy za cel wzięli sobie sam budynek konserwatorium już. Bombardowanie było non stop. Bomba padła w róg konserwatorium. Budynek się zatrząsł, dosłownie się poruszył i stał. To znaczy, tam część była jakaś rozwalona, a budynek dalej stał. No i w nocy rodzice postanowili iść na drugą stronę Alei Jerozolimskich, bo tam było dużo spokojniej. Wobec tego wyszliśmy. A jeszcze nie powiedziałam, jak skończył się nasz dom. Jak myśmy już przyszły do elektrowni, to na drugi dzień mamusia, Natalka, ta nasza gosposia i mój ojciec wybrali się do domu, żeby jakieś rzeczy zabrać potrzebne z ubrania czy coś. Poszli razem z panem Furmańczykiem. No i weszli do naszego mieszkania na trzecie piętro. Usłyszeli... nakręcanie krowy. Mamusia zaczęła krzyżeć „Chodźcie”. Zeszła po schodach, zdążyła zejść, ojciec też, a pan Furmańczyk, mamusia krzychała do niego: „Panie Furmańczyk, niech pan schodzi.” On mówił: „Zaraz, zaraz”. I w tym momencie padły te pociski krowy. No i schody się zawaliły. Bo on już wszedł na schody. Schody się zawaliły i przywały go kamienne schody. No więc rodzice oczywiście nie myśleli o zabieraniu jakichś rzeczy, tylko odgruzowywali, żeby go wydobyć. No to trwało parę godzin. Mnie nie wzięli, ja chciałam iść z rodzicami, ale mnie nie wzięli, zostawili mnie w elektrowni. To odgruzowywanie i ściąganie tych kamiennych schodów trwało do wieczora prawie. No, odkopali go, wynieśli, żył, wynieśli go do szpitala, który był na ulicy Boduena. To taki prowizoryczny szpital jakiś, powstańczy. Na noszach, nie na noszach, tylko zrobili..., na drzwiach. I nieśli go i Natalka też go niosła na noszach, ona była silna jeszcze. Jeszcze była młodsza przecież, dożyła 101 lat, ale to później było. Zanieśli go do szpitala. No i potem rodzice wrócili oczywiście już bez niczego. Tak że własnych rzeczy nie mieliśmy zupełnie, jedzenia też, tylko to, co w elektrowni to jeszcze nas żywili. To było zbiorowe żywienie, w konserwatorium też dostaliśmy jeszcze jeść. No a potem ojciec postanowił, że odprowadzi nas na drugą stronę Alei Jerozolimskich, że tam do jakichś znajomych pójdziemy, kogoś znajdziemy ze znajomych. Szliśmy całą noc. Bez kanarków już. Kanarki zostały. Ojciec powiedział tak, że trzeba kanarki zostawić z otwartymi drzwiczkami klatki. Jak się będzie paliło, to kanarki wyfruną. A tu całe ziarno trzeba było im wysypać do klatki, żeby miały co jeść. A jak trzeba będzie, to wyfruną. No i tak się kanarki skończyły. Poszliśmy w nocy. Szliśmy przez Nowy Świat. Tłumy ludzi, tłumy. Miejscami nie można było się przez Nowy Świat przecisnąć, bo wszyscy uciekali z tego najgorszego rejonu, najbardziej bombardowanego. Doszliśmy do Chmielnej, idąc całą noc. Na Chmielnej była barykada, na barykadzie stał powstaniec żołnierz i nie przepuszczał dalej ludzi, bo jakby przepuścił, bo przez Aleje Jerozolimskie tam nie było podkopów pod alejami. Dlatego, że pod alejami był tunel kolejowy. Były dwie barykady i między barykadami się przebiegało przez Aleje Jerozolimskie. Ale ostrzał był z dwóch stron. I od strony Wisły Niemcy byli, i od strony Ochoty był ostrzał. Tak że te barykady były w dzień rozwalone pociskami, w nocy były reperowane i w nocy było przejście, no ale jak się już zaczynał świt, to by była jatka. Żołnierz nie przepuszczał ludzi. Wróciliśmy do konserwatorium. Była godzina 8:00 rano, jak wróciliśmy. Siedzieliśmy na schodach i ja zaczęłam płakać. Do tej pory jakoś tak spokojnie było. Ja przyjmowałam, że jest powstanie, jest wojna i musi tak być. A tu zaczęłam płakać: „Chodźmy stąd” i „chodźmy stąd”. I ojciec się zdenerwował, huknął aż na mnie, mówi: „No przecież widziałas, że nie ma wyjścia. Że wróciliśmy, nie ma stąd wyjścia”. A ja w kółko powtarzałam: „Chodźmy stąd” i „chodźmy stąd”. I to usłyszał taki pracownik ojca, jedyny, którego widziałam, jedyny AL-owiec. On miał opaskę z napisem AL. I on słysząc, widząc tę scenę, podszedł do ojca i mówił: „Panie inżynierze, ja was przeprowadzę, ja znam przejście”. No

i tak jak staliśmy, jak właściwie siedzieliśmy na tych schodach, tośmy poszli. I on nas rzeczywiście przeprowadził. No przez Nowy Świat to jakoś było. Potem przez Chmielną, ale to już piwnicami nas przeprowadził. W piwnicach przecież światła już dawno nie było. Świeczek już brakowało. Doszliśmy już, zapomniałam ulicy wtedy powiedzieć, na wysokości Brackiej były te dwie barykady. Jak przyjechał prezydent Stanów Zjednoczonych i było spotkanie z nim na Placu Krasińskich, to właśnie on mówił o tej barykadzie w czasie powstania przez Aleje Jerozolimskie, jak się między barykadami przechodziło, on to wspominał. To właśnie te barykady były. No i szliśmy piwnicami, ten AL-owiec mnie wziął tak na przód, trzymał mnie za ramiona i po ciemku posuwaliśmy się przez piwnice. Czasem się paliła gdzieś jakaś świeczka. I wiedział, że jak on mnie weźmie, to już rodzice za mną polecą. I tak przeszliśmy tymi piwnicami, doszliśmy do jakiejś piwnicy w domu na Brackiej i tam zobaczyłam, była nauczycielka muzyki, którą znam, to nie była moja nauczycielka, ale znałam ją. I zobaczyłam ją i powiedziałam: „Dzień dobry”. Za chwilę usłyszałam głos mamusi: „Gdzie ta Renia? Gdzie ta Renia?”, bo tłum ludzi nas rozdzielił po prostu. Ten AL-owiec szedł, mnie trzymał za ramiona, żebym się nie zgubiła, ale się od tamtej reszty towarzystwa oddzielił. No i ta nauczycielka zaczęła wołać: „Tu jest Renia, widziałam ją przed chwilą”. I tak przeszliśmy do Alei Jerozolimskich. Tu nas doprowadził, wyszliśmy już na powierzchnię i powiedział: „Teraz leć szybko, tylko schył głowę, schył się i leć szybko”. No i tak przelecieliśmy przez aleje. On został gdzieś. Nawet nie było czasu mu podziękować. Znaleźliśmy się po drugiej stronie Alei. Rzeczywiście, tam była oaza spokoju, po tym piekle, które przeszliśmy tutaj. Poszliśmy najpierw na ulicę Hożą do znajomej. Ona mieszkała na czwartym piętrze, ale już nie mieszkała. Ona mieszkała, już się przeniosła też do mieszkania jakiegoś tam na parterze, przyjęli ją właściciele tego mieszkania, ale tam był tłum ludzi już na parterze, bo przecież nikt nie chciał być wysoko w mieszkaniu, tylko wszyscy na parterze, żeby w razie czego do piwnicy zejść szybko. No nie było miejsca, poszliśmy dalej szukać. Następnego domu przyjaciół rodziców już nie było. Nie istniał po prostu dom. Szliśmy piwnicami znowuż i podkopami pod ulicami. Poprzeczne ulice miały podkopy. Ciężko się szło pod kopem, bo tam pod jezdnią były rury. Rozmaite, były kable i elektryczne, i rury wodociągowe, i rury kanalizacyjne ogromne. To trzeba było pełznąć między tymi rurami, żeby przepłynąć na drugą stronę. No, wyszliśmy czarni z tych piwnic i z tych podkopów pod ulicami. No i doszliśmy w ten sposób na ulicę Lwowską, a na ulicy Lwowskiej mieszkali przyjaciele rodziców. Lwowska 8, to był 2, 4, 6, przy Politechnice, bo to od Politechniki szła numeracja. Na Politechnice byli Niemcy, a właściwie to byli Austriacy, oddział Austriaków był w czasie powstania na Politechnice. Więc nie było takiego bombardowania, bo bali się, że zbombardują swoich. Tam było bezpieczniej, na Lwowskiej. Zresztą na Lwowskiej te domy zostały przy Politechnice, do dzisiejszego dnia są, zostały domy przedwojenne. Tam mieszkali rodziców przyjaciele. Adwokat Stokowski. I oni mieszkali na pierwszym piętrze, no więc zdawało się, że i dzielnica spokojna i pierwsze piętro, to będzie dobrze. No ale tam też zaczęły się pociski z kolei. Zeszliśmy do piwnicy. Piwnica też nie była dobra, dlatego że tam był świetlik w piwnicy. Świetlik był przez wszystkie piętra, od dachu był świetlik. Więc jakby padła bomba czy jakiś pocisk, to by właśnie wybuchł w piwnicy. No a po długich rozmowach, ciekawych zresztą, przenieśliśmy się na Lwowską 10. To był dom bankowców też. I tam były jacyś kuzyni naszych kuzynów. Wpuścili nas do swojej piwnicy. Koczowaliśmy u nich na węglu. Rozmowy były bardzo ciekawe. Wszyscy mówili o jedzeniu. Jak ludzie są głodni, to wtedy mówią o jedzeniu. Ja pamiętam te rozmowy. Zawsze był befszyk z kartofelkami i coś tam jeszcze. No, ale tam było spokojniej. Mamusia prosiła, żeby ojciec nie wychodził z powstańcami, tylko żeby wyszedł z ludnością cywilną. No i ojciec, ulegając mamusi prośbom, wyszedł z nami. Zawieszenie broni najpierw było, 3 października. Wyszliśmy, po raz pierwszy oglądaliśmy Warszawę. Póki szliśmy ulicą Lwowską, to była normalna ulica. Oczywiście nie było szyb w oknach, było pełno gruzu, było jakiegoś tam

na ulicy, kawałki dachów i tak dalej, ale to jeszcze była ulica. Doszliśmy do rogu, a tam już było jedno wielkie gruzowisko. Do pierwszego piętra to było po prostu jedno gruzowisko. Tam już nie było ścian nawet. Tam tak jakby ktoś wysypał te gruzy. Tak że szło się ścieżką po gruzach. Ścieżka była wąska, jak ktoś szedł z przeciwnej strony, to trzeba było jakoś ustępować miejsca, żeby się wyminąć. Spotkaliśmy matkę mojej koleżanki. No, szczęśliwie przeżyli. Oni mieszkali na Zielnej, tam były też właśnie lekcje, komplety tej naszej szkoły. Skończyłyśmy przed powstaniem ó klasę chwalebnie. Oczywiście żadnych dokumentów nie było. Legitymacja była fałszywa z jakiejś szkoły, która podlegała Niemcom. Legitymacja była po niemiecku wypisana, mam tą legitymację do dzisiaj. Ale to nie była nasza szkoła, tylko taka na wszelki wypadek, legitymacja ochronna. No i właśnie spotkaliśmy matkę koleżanki, no wszyscy się cieszyli, że się spotykają, że przeżyli. Potem spotkaliśmy moją kuzynkę, cioteczną siostrę. Jej mąż był w powstaniu, to był narodowiec. Nie wiedziała, czy przeżył. Nie było żadnej wiadomości od niego, siedziała i płakała. No pocieszałyśmy ją, jak mogłyśmy z mamusią. Spotkałyśmy panią Baczakową. To była ongiś głośna sprawa. W roku 1947 proces Grocholskiego i Baczaka i jeszcze dwóch osób. Oni dostali karę śmierci. Baczakowie to byli przyjaciele moich rodziców. Pani Baczakowa to była szkolną koleżanką mojej mamusi. Adwokat Baczak miał dwóch synów. Jeden był starszy, drugi był w moim wieku. Ten starszy brał udział w powstaniu. Najpierw też zdał maturę na początku wojny na takich kompletach. Potem należał do AK. W Kedywie, był członkiem Kedywu. No jest wspominany w różnych pamiętnikach. Bartelski o nim wspomina, bo on był w tym zgrupowaniu „Baszta”. Ranny był w czasie powstania, ciężko ranny. Chcieli amputować mu rękę. Na drugi dzień spotkaliśmy się, jeszcze było zawieszenie broni, jeszcze chodziliśmy po Warszawie i patrzyliśmy, jak Warszawy już prawie nie ma. Takie zniszczenia straszne. Po tych gruzowiskach się chodziło. No i spotkałyśmy się jeszcze raz z panią Baczakową i z Waldkiem Baczakiem, który miał rękę na temblaku. Czytałam potem w IPN-ie, akta procesowe dostałam. Dostał karę śmierci, Grocholski też. To był genialnie zdolny chłopak. W chwili śmierci miał 24 lata. Skończył dwa lata Wydziału Prawa podziemnego Uniwersytetu. Po wojnie wyszedł z ludnością cywilną jako ranny, był ciężko ranny, chcieli amputować rękę. Czytałam zeznania lekarki, która go ratowała i nie zgodziła się na amputację, uratowała tą rękę. Ale jego nie uratowała, nie mogła. Ona brała udział w powstaniu, córka siedemnastoletnia brała udział w powstaniu. No i..., no ale to późniejsza historia, już nie będę teraz mówić o tym. Wyszliśmy z Warszawy, wyszliśmy chyba 5 października. Punkt, przez który się wychodziło, był przy elektrowni na ulicy Nowowiejskiej. Tam była barykada i tam się przechodziło. No majątku nie mieliśmy wielkiego, ale co nam ludzie dali? Bo przecież jak wyszliśmy z elektrowni i z konserwatorium, to nie mieliśmy nic do jedzenia, to co nam obcy ludzie dali. Wtedy jeszcze powstańcy zdobyli fabrykę Haberbuscha, a tam były składy jęczmienia chyba. Dostaliśmy trochę tego jęczmienia i to się gotowało. Robiło się taką zupę z tego jęczmienia, że można było policzyć te ziarka. Ale zawsze było coś jeść. Potem jak się kończyło powstanie, a ludzie mieli jeszcze cokolwiek, jakieś zapasy, to rozdawali. No i wszyscy... Plecaków tyle nie było, mżeby zabrać majątek do plecaka, tylko były worki po mące. Bo te były w każdym domu przeważnie. Więc doszywali ludzie takie paski, jak do plecaka no i worek się wynosiło na plecach. Nasz majątek był niewielki, ale co nam ludzie dali. Dostaliśmy od państwa Kędzierskich dwa swetry, w których chodziliśmy z mamusią. Jeden był dla mamusi dobry, na mnie był za duży, bo to był ich córek, miały obie koło dwudziestu lat i obie brały udział w powstaniu. Nie było ich wtedy w domu, więc rodzice ich dali nam te swetry. No to było jedyne, cośmy miały potem do końca wojny. Potem dawali, jakieś konfitury czasem, trochę jakiejś mąki, trochę czegoś tam, kawałek chleba czy... Wszystko co było do jedzenia, to rozdawali. No i tak wyszliśmy z Warszawy. Szliśmy przez to przejście koło Politechniki, ulicą Nowowiejską do filtrów i koło filtrów skręcaliśmy w lewo. Tłum ludzi, pilnowali nas Niemcy z karabinami. No oczywiście nikt nie uciekał, no bo po co, w Warszawie i tak nie można

było zostać, wobec tego, że trzeba było wyjść. Jak zakręciliśmy koło filtrów, to tam leżało mnóstwo trupów i te trupy były widać spalonych ludzi, bo oni mieli wszyscy spalone nogi. Dosłownie buty spalone były, nogi nadpalone. Mamusia powiedziała: „Nie patrz w tamtą stronę”. No ale co zobaczyłam, to mi zostało w oczach do końca życia. Rzędy takie widać, wynieśli ich z jakiegoś domu, który się palił może. Nie wiem, ale rzędy spalonych ludzi leżały. Deszcz zaczął padać, szliśmy w tym deszczu, taki smutny pochód. No i doszliśmy tak do dworca zachodniego. Na dworcu zachodnim zapakowali nas w pociąg i to nawet osobowy. Wagon miał drzwi otwierane na lewo i na prawo do każdego przedziału. Daleko nie jechaliśmy, dojechaliśmy do Ursusa. W Ursusie był obóz dla warszawiaków. Takich obozów to nie tylko był Pruszków, gdzie był największy obóz, ale właśnie w Ursusie, w różnych miejscach, tych obozów było chyba kilkanaście. Myśmy trafili właśnie do Ursusa. Zaprowadzili nas do takiej hali, jakiejś produkcyjnej, gdzie nie było maszyn. No i na betonie nas zostawili. Pusta była hala. I tam zostaliśmy już do końca dnia. Nocowaliśmy na tym betonie, spaliśmy. Następnego dnia... Aha, problemem były ubikacje, bo przecież to była fabryka, pracowało kilku pracowników, ale ona nie była dostosowana do tysięcy ludzi, którzy byli tam w tych halach fabrycznych umieszczeni. Jeden przy drugim, przecież tam nie było miejsca. Tam pokotem ludzie leżeli na tym betonie, czy na innych jakichś tam salach fabrycznych, czy w budynkach fabrycznych, tam przecież kilka budynków było. Niemcy zrobili takie doły wielkości kilku metrów, nie umiem powiedzieć, ale przynajmniej cztery metry na cztery, czy ileś. I kładki były na tych dołach poprzekładane. Takie po prostu deski. Myśmy się bali, że można spać z takiej kładki do tego dołu kloacznego. Ale przejść nie tylko, że te doły były publiczne już, bo już nie było możliwości inaczej, ale nie można było dojść, bo tam takie straszne tłumy ludzi były, wpakowane do tej fabryki Ursusa, że nie można było się przebić przez tłum do tego dołu kloacznego. Tak że to był ogromny problem. Na drugi dzień była selekcja tych ludzi, którzy wyszli z Warszawy. No i szliśmy. Rodzice, Natałka i ja. Stał Niemiec z karabinem i sortował ludzi. Do jednych krzyczał: „links”, do drugich krzyczał: „rechts”. No i do nas krzyknął: „links”, a do Natałki: „rechts”. Nie wiedzieliśmy, co to znaczy, gdzie mamy iść, tylko albo na lewo albo na prawo. Ale co to znaczy, nie wiedzieliśmy. Natałka widząc, że my odchodzimy w drugą stronę, zaczęła piekielnie krzyzczeć. Ona była głucha, sama nie słyszała. Zaczęła się wydzierać wniebogłosy i szarpać z tym żołnierzem. Żołnierz ją trzymał za ramiona i nie chciał jej puścić, a ona jego trzymała i krzyczała wniebogłosy. Myśmy zmartwieni, mogło się źle skończyć. Tymczasem ten żołnierz już widząc napierający tłum następnych ludzi, machnął ręką i puścił ją na naszą stronę. No i Natałka, okazało się, że ona by została na terenie Polski, a nas przeznaczył na wyjazd do Niemiec. No ale tego nie wiedzieliśmy w tym momencie jeszcze. W ogóle nie wiedzieliśmy, gdzie nas zawiozą. Zaprowadzili nas do innego budynku, do innej hali, na drugie piętro i tam były jakieś takie półki. Przypuszczam, że na jakieś maszyny czy na jakieś urządzenia. Półki miały metrową wysokość i na tych półkach ulokowali ludzi. Tak że półki były paropiętrowe na tej hali. I tak koczowaliśmy tam ten dzień i noc. Makabra było zejście do tego dołu kloacznego. Takie zejście przebijając się przez tłum ludzi na schodach, w tą i z powrotem, to trwało dwie godziny. To było aż nieprawdopodobne. Dali nam coś jeść, ale ja już nie pamiętam co. I na drugi dzień, tam była rampa kolejowa, pod taki budynek podjeżdżał pociąg, towarowy oczywiście i wyszliśmy z tego budynku na tą rampę i do pociągu. Niemcy odliczali do każdego wagonu po 60 osób średnio, ale jak tam byli dwoje czy troje, rodzina, to wtedy więcej było i dawali na cztery osoby jeden bochenek chleba. Tak że liczyli cztery i dawali ten chleb czwartemu. No i tak dostaliśmy ten bochenek chleba, który nam starczył na kilka dni. To znaczy, ćwiartka chleba na łebka. Weszliśmy do wagonu, ale 60 osób w takim towarowym wagonie, to się mieści zupełnie dobrze, jak stoją wszyscy, ale przecież nie można było wystać przez cztery doby. Tak że po jakimś czasie ojciec zaczął myśleć, jakby tu usiąść na podłodze tego wagonu. Trudno było. Człowiek siedzący zajmuje więcej

miejsca niż stojący. Wobec tego te nasze worki, które zawsze coś tam mieliśmy w tych workach, to ojciec pouwiączywał. W wagonie była taka poprzeczka pod sufitem, przez szerokość wagonu. Wziął kawałek sznurka i przywiązał nasze plecaki do tej poprzeczki. No więc było o tyle więcej miejsca, jakoś zmieściliśmy się tam siedząc. I ludzie jak mogli, też później zaczęli siadać. To wszystko się źle skończyło, bo wagon się palił później. No i wagon zamknęli. Staliśmy jeszcze jakiś czas w Ursusie. Potem jechaliśmy. Jechaliśmy na zachód, czyli do Niemiec. Ale nie informowali nas, gdzie idą i po co. Przejżdżaliśmy przez Skierniewice. W Skierniewicach był dłuższy postój pociągu. Drzwi uchyli, były takie zasuwane drzwi w tym towarowym wagonie, to był taki bydlęcy wagon. I słyszemy, jak ktoś leci przez peron i krzyczy: „Inżynier Hykier z elektrowni”. Za chwilę, „Inżynier Hykier z elektrowni”. Przy każdym wagonie krzyczał to samo. A myśmy siedzieli w głębi wagonu. Więc zanim się ojciec dobił przez ten tłum ludzi do drzwi wagonu, to już ten krzyczący poleciał gdzieś dalej. Okazuje się, że to był siostrzeniec mojego ojca. Oni byli wyrzuceni ze swojego majątku w okolicy i już koniec wojny spędzali w Skierniewicach w jakimś wynajętym mieszkaniu. I chłopak siedemnastoletni pełnił służbę taką w RGO [Rada Główna Opiekuńcza] czy w Czerwonym Krzyżu na dworcu jak wywozili warszawiaków. A że wiedział, że ma stryja w Warszawie i że pracował w elektrowni, to leciał i właśnie tak krzyczał: „Inżynier Hykier z elektrowni”. No i ludzie zaczęli krzyczeć na tym peronie, jeden drugiemu przekazywał wiadomość, że doszła do nas ta wiadomość i do niego doszła, jego zatrzymali tam ludzie i przyszedł do nas. Okazuje się, jego matka upiekła jakąś szarotkę dla nas i przyniosła. Ojciec mówi: „Czy nie można drzwi szerzej otworzyć, żeby wyjść?” No, zaczęli myśleć nad tym, jak tu otworzyć drzwi, i tymczasem pociąg dał znak do odjazdu, on został, a myśmy nie wyszli. No i jechaliśmy przez cztery dni, czwarta noc była. Dojechaliśmy do Bochum, przepuszczaliśmy inne pociągi, bo tam jechały pociągi na front zachodni. Wojsko, amunicja jechała. To nas wtedy na boczny tor odstawiali, a te pociągi z wojskiem przepuszczaliśmy. No i w Bochum był nalot. Najpierw alarm, nalot. Maszynista zaczął uciekać. A bombardowali w nocy Anglicy, bo amerykańskie dywanowe naloty, jak mówiło się, to były w dzień. A angielskie były nie dywanowe, tylko takie mniej daleko tych samolotów było, ale bombardowali w nocy. No i jak zobaczyli, że pociąg jedzie w kierunku granicy, w kierunku linii granicznej, to zaczęli bombardować nasz pociąg bombami zapalającymi. I nasz wagon się zapalił, a myśmy były zamknięte w wagonie, więc wesoło nie było. Zauważyliśmy wtedy, bo był tak załoczony ten wagon, że nie widzieliśmy ile ludzi, nawet znajomych w tym wagonie jedzie. I wtedy właśnie jak jednej pani się zapaliły włosy, zobaczyliśmy, że to była nasza sąsiadka, żona profesora Jabłońskiego. On też pracował w elektrowni, a w ogóle wykładał wcześniej na Politechnice. I jej się już, ona stała przy tym okienku i jej się zapaliły włosy już. Tak że było niebezpiecznie i w tym momencie otworzyli te drzwi wagonu. Wyskakiwaliśmy z wagonu, oczywiście bez tych worków, które pod sufitem były wieszane na sznurku, bo nie było możliwości już, jak się wagon palił. Ważne było wyskoczyć z niego. Tak że wyszliśmy tak, jak żeśmy stali. Ja wyskoczyłam bez butów, bo była noc i było strasznie gorąco. Tłum ludzi, to myśmy grzali już ten wagon. No i potem, jak to się można spotkać po latach... Po wojnie znaleźliśmy się w Kielcach. Ojciec wrócił do elektrowni. Pracował w elektrowni, ale mieszkania nie miał. Ponieważ budynek administracyjny elektrowni ocalał i ocalał ten dział, gdzie ojciec pracował, więc ojciec w swoim gabinecie rozkładał, dostał jakieś polowe łóżko, rozkładał to łóżko na noc, a rano przed pracą zwinął łóżko i był gabinet. No i w ogóle już zaczęli myśleć o oświetleniu Warszawy. To był przecież, jak byśmy wrócili, to był 1945 r., druga połowa października. Ojciec oświetlał drogę do teatru. Już był pierwszy teatr w Warszawie, Teatr Polski. Budynek teatru przetrwał, powstanie, wojnę. I było jedno z pierwszych przedstawień. A ponieważ ojciec oświetlał teatr, oświetlał drogę, tam załatwiał te sprawy, dostał od dyrektora teatru bilety. I zawiadomił nas z mamusią, wobec tego wsiadłyśmy, na takie..., kursowały otwarte samochody. To był styczeń 1946 r., zimno, ale pociągi nie

chodziły na tej linii jeszcze, bo tory były zerwane. Jeździły otwarte ciężarówki. I myśmy na takiej otwartej ciężarówce przyjechały do Warszawy i byłyśmy na tym przedstawieniu, to była „Lilla Weneda”, pamiętam. Piękne przedstawienie, teatr, w ogóle ja... W czasie wojny się nie chodziło do teatru, nie chodziło się do kina. Ja byłam pierwszy raz w teatrze w ogóle wtedy, więc duże wrażenie. No i tak przyjechałyśmy. I wracając, znowuż taką otwartą ciężarówką, bo to jedyny środek lokomocji. Jechałyśmy z powrotem do Kielc, a ojciec dalej zostawał we Warszawie. I zaczęła się rozmowa, że takie niewygody, że zimno, że mróz, że otwarta, że wiatr. I jakaś pani mówi: „Eee tam narzekacie, w gorszych warunkach się jechało”. I od słowa do słowa okazało się, że ta pani jechała tym samym transportem co my, w tym samym wagonie, który się zapalił. I wtedy jak jechaliśmy, to siedziały takie dwie dziewczyny, tak wyglądały na 16 lat, przy drzwiach siedziały. I zwróciły naszą uwagę tym, że one obrębiały szydełkiem chusteczki do nosa. W takich warunkach, a one tak znalazły sobie zajęcie, żeby coś robić. I proszę panów, ta dziewczyna zginęła od kuli, bo Anglicy siekli jeszcze z broni pokładowej. I ona zginęła od takiej kuli. A jej matka, z jej matką spotkały się, wracając z Warszawy. I ona nam opowiadała potem tą historię, że ta dziewczynka zginęła.